



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Jerzy Sobczyk

## Wracałem przez Warszawę

Wysiedlenie ludności polskiej z terenu sołectwa Warężyn w pow. będzińskim (Oberschlesien) było przez Niemców drobiazgowo przygotowane pod względem liczby i jakości budynków mieszkalnych i gospodarczych, inwentarza żywego i sprzętu gospodarczego oraz zatrudnienia w okolicznym przemyśle. W dniu 26 czerwca 1942 roku bardzo wczesnym rankiem (ok. godz. Trzeciej) żandarmeria i służba więzienna z okolicznych obozów, np. „Haaga” w Łagiszy (filia niemieckiego obozu zagłady Auschwitz-Birkenau), pod nadzorem jednostki SS otoczyły wieś Warężyn, obstawiając w pierwszej kolejności te gospodarstwa, w których planowano osiedlić Niemców. Moją rodzinę: ojca Jana Sobczyka, matkę Stanisławę, mnie, brata Andrzeja, siostrę Danutę i siostrę Elżbietę pilnowało dwóch funkcjonariuszy. Jeden z nich pilnował obejścia: budynków, inwentarza żywego i sprzętu gospodarczego, a drugi, ze służby więziennej, pilnował żebyśmy nie pozabierali zbyt wiele i przypadkiem nie zniszczyli wyposażenia budynku mieszkalnego. Faktycznie mogliśmy zabrać tylko rzeczy osobiste i pościel – po jednym tobołku na osobę.

Całą wysiedloną ludność, transportem konnym dowożono do punktu zbiorczego na podwórko szkoły w Wojkowicach Kościelnych. Traktowanie wysiedlonych było różne, mniej i bardziej brutalne. Mnie np. skopał SS-man tylko za spuszczenie głowy i oparcie się o parapet okna. W punkcie zbiorczym dokonano pierwszej selekcji. Rodziny, których członkowie byli zdolni do pracy wywieziono transportem kolejowym z Ząbkowic bezpośrednio do Niemiec na Dolny Śląsk, m.in. rodzinę Józefa Juzonia i Jana Jędrzejowskiego. Pozostałe rodziny, w tym i moją, przewieziono do specjalnie przygotowanego obozu „Polenlager” w Orzeszu koło Rybnika. Obóz był ulokowany w zabudowaniach po starym szpitalu. Był to budynek centralny z zapleczem i małym parkiem. Całość ogrodzona solidnym murem, który dodatkowo zabezpieczono drutem kolczastym. Obozu pilnowała niemiecka służba więzienna, a nad całością czuwał komendant (SS Sturmabfuhrer).

Każdy dzień rozpoczynał się wcześniej rano od apelu, na którym przeliczano więźniów oraz wyznaczano zakresy pracy na miejscu i pod mocnym nadzorem poza obozem. Ja i moi koledzy pracowaliśmy w większości na zewnątrz przy reperacji dróg i budowie nowych. W Orzeszu pracowałem około dwóch tygodni. Po tym okresie młodych mężczyzn przewieziono do obozu o zaostrożonym rygorze w Siemianowicach Śląskich. Tam z innymi współwięźniami pracowałem przy obsłudze koni sprowadzanych z terenów Rosji zajętych przez Niemców. Obóz ten mieścił się w majątku rolnym Grafa Siemianowic (tak był nazywany przez miejscowych). Przebywałem tam około półtora miesiąca. W tym okresie byłem świadkiem pewnego zdarzenia godnego zanotowania. Otóż pewnej nocy jeden ze współwięźniów próbował ucieczki przez okratowane okno w łazience. Pech chciał, że w tym czasie

Lagerführer SS dokonywał inspekcji wszystkich ubikacji i w momencie forsowania przeszkody, wyłamywania krat przez uciekiniera, wszedł do łazienki. Wywiązała się walka, odgłos walki usłyszeli wartownicy i pospieszili Lagerführerowi na pomoc. Strasznie zbitego więźnia wrzucono do piwnicy, a na drugi dzień rano wywieziono go do niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz.

Następnego dnia po tym zdarzeniu była kontrola obozu przez delegację Ministerstwa Bezpieczeństwa z Berlina. Staliśmy w szeregu, każdy z więźniów przy swoich koniach. Parę metrów od mojego stanowiska Lagerführer składał komisji raport o stanie liczebnym ludzi i koni. Miał rękę umocowaną na temblaku. Po skończonym raporcie szef delegacji, w randze pułkownika SS, zapytał go co było powodem uszkodzenia jego ręki. Usłyszawszy wyjaśnienia zdenerwował się i chciał go zastrzelić za bierną postawę wobec więźniów, ale powstrzymali go od tego pozostali członkowie delegacji. Według relacji kolegi współwięźnia, który znał dobrze niemiecki, Lagerführer powinien był zastrzelić winnego, a dla przykładu jeszcze kilku innych więźniów. Po tym wypadku komendanta obozu wysłano na front wschodni.

Najgorsza dla więźniów była sprawa wyżywienia. Szczególnie dotkliwie odczuwali to ludzie młodzi, tacy jak ja. Pamiętam, że w czasie prac w polu przy sprzyjających okolicznościach obrywaliśmy kłosa żyta jeszcze niedostatecznie dojrzałego, aby chociaż częściowo zaspokoić głód. W czasie pobytu w obozie w Siemianowicach dokarmiałem się paszą dla koni. Jak tylko to było możliwe, wybierałem melasę z paszy treściwej (produkt uboczny przy produkcji cukru z buraków). Po upływie około półtora miesiąca przetransportowano nas z Siemianowic z powrotem do Orzesza. Po powrocie do obozu w Orzeszu komisja niemiecka przeprowadziła drugą selekcję wysiedleńców, tym razem dzieląc na dwie grupy. Pierwszą grupę stanowiły rodziny złożone z osób zdolnych do pracy. Drugą – rodziny z małoletnimi dziećmi i starcami. W pierwszej znalazła się też moja rodzina. Zostaliśmy wytypowani do wywózki w głąb Rzeszy na roboty. W obozie pozostała tylko moja babcia Maria Musialik.

Pod koniec września 1942 roku wytypowane rodziny zostały załadowane do pociągu. Specjalnym transportem wyruszyliśmy do Prus Wschodnich. Oprócz mnie i moich najbliższych z Warężyna znalazły się tam rodziny: Henryka Juzonia, Stanisława Majcherczyka, Wołczyków, Józefa Sobczyka. Z Kuźnicy Warężyńskiej i Piaskowej pochodzili Łydkowie, Solipiwwowie, Pogodowie i Pitasowie. Spośród mieszkańców Garbacza (Dąbia) rodziny – Franciszka Sobczyka, Stanisława Sobczyka i wiele innych przebywających wcześniej w obozie w Orzeszu.

Jechaliśmy pociągiem ponad dwie doby, bo w tym kierunku na front wschodni podążały transporty z bronią i żołnierzami, a one miały pierwszeństwo. Punktem docelowym było miasto Instenburg (obecnie należy do obwodu Kaliningradzkiego), ale rozładunek rodzin rozpoczął się od dzisiejszego Olsztyna, Bartoszyce itd. Przypominam sobie jak późnym rankiem wysadzono nas na stacji towarowej, gdzie na swoich przyszłych robotników czekali już bauerzy. Pamiętam dokładnie jak nas testowano. Każdy z dorosłych dokładnie został obejrzany i sprawdzony pod względem przydatności do pracy fizycznej. Osoby o wyglądzie atletycznym zabrano w pierwszej kolejności. Członkowie mojej rodziny należeli do ludzi o szczupłych sylwetkach i drobnych posturach, wobec czego z podobną rodziną Sobczyków z Garbacza pozostaliśmy do końca. Powiedziałem wtedy do ojca: „Tato, nie wiem czy zostaniemy kupieni przez kogokolwiek i czy nie wrócimy do obozu”. Pod koniec dnia, a raczej późnym popołudniem, zostaliśmy załadowani na samochód ciężarowy i przewiezieni do miejsca przeznaczenia. Sobczyków z Garbacza umieszczono w zakładzie mleczarskim w Zudenem (?), a nas powieziono dalej do gospodarstwa rolnego Hansa Haarbikera we wsi Missen, pow. Angerap. Ja pracowałem w charakterze fornała z końmi, ojciec przy oporządzaniu świń i dostawie mleka z gospodarstwa do mleczarni, siostra jako pomoc domowa u właściciela gospodarstwa, a młodszy brat (10 lat) i matka zatrudniani byli sezonowo. W gospodarstwie tym pracowaliśmy do czasu ewakuacji późną jesienią 1944 roku. Ewakuacja ludności cywilnej nastąpiła w połowie października 1944 roku, w czasie zbliżania się działań wojennych. Ja z rodziną bauera (żona bauera i troje małych dzieci) uciekałem zaprzęgiem konnym, a ojciec z pozostałą rodziną wiół żywność i paszę dla koni. Podróż trwała dwa tygodnie z okolic Instenburga do miejscowości Preis-Holand koło Elbląga. W Elblągu mnie jako młodego chłopca Niemcy zabrali do pracy przy okopach w okolicy Koenigsberga – dzisiejszego Kaliningradu.

W czasie ofensywy zimowej wojska niemieckie wycofały się w kierunku Królewca ewakuując po drodze całą ludność cywilną, w tym również i nas – robotników zatrudnionych przy kopaniu umocnień wojskowych. Po przybyciu do Królewca, korzystając z chwilowego zamieszania, próbowałem wyrwać się do rodziny przebywającej w Elblągu, ale pociągi już nie kursowały, gdyż jak wynikało z komunikatów zbombardowany został dworzec kolejowy w Braddsbiergu (dzisiejsze Braniewo).

Na głównym dworcu kolejowym w Królewcu wraz z wielu innymi uciekinierami zostałem aresztowany przez żandarmerię kolejową. Następnie przewieziono nas do pobliskiego obozu pracy, który zbudowano na wysypisku śmieci za miastem. Potocznie miejsce to nazywano „obozem śmieci”. Gdy po dwóch dniach linia frontu zbliżyła się pod sam obóz, służba więzienna wraz z administracją wycofały się do miasta. W tym czasie obóz na trzy doby znalazł się w pasie neutralnym. Nie było ani Niemców ani Rosjan. Przez ten czas więźniowie zniszczyli ogrodzenie, porozrywali druty kolczaste,

a magazyny z żywnością doszczętnie rozkradli. Nawet ziemniaki, marchew i brukiew zmagazynowane w kopcach zostały wybrane. Wydarzenia te miały miejsce w grudniu 1944 roku przed świętami Bożego Narodzenia. Po trzech dniach straż więzienna wróciła i na kilka dni zabrała nas do budowy barykad na terenie miasta. Układaliśmy worki z piachem w otworach piwnicznych budynków.

Po dokładnym rozeznaniu się w sytuacji przestałem stawać do rannego apelu. Wraz z kolegami przed apelem kryłem się w ruinach zbombardowanych budynków. Po wymarszu więźniów do pracy wracałem do obozu i przygotowywałem sobie jedzenie ze zrabowanych ziemniaków, marchwi, kaszy ze zmielonego żyta i kawałeczka margaryny. Tak przeżyłem cały styczeń 1945 roku. Pod koniec stycznia służba więzienna i żandarmeria wojskowa otoczyły obóz i zabrały około 100 młodych mężczyzn. Przetransportowano nas w okolice Góry Zamkowej i zakwaterowano w kościele baptyistów. Tam również pracowaliśmy przy budowie barykad i rowów strzeleckich w portach oraz na starych cmentarzach. Po dwóch tygodniach (w lutym 1945 roku) Niemcy przetransportowali nas na samo przedpole frontu, na jakieś przedmieście i zakwaterowali w szkole w sali gimnastycznej. Żołnierze rozlokowali się w salach wykładowych. Już w pierwszym dniu pobytu Niemcy wysłali nas na przedpole pierwszej linii frontu do kopania rowów strzeleckich i stanowisk dla karabinów maszynowych. Po huraganowym ostrzale dokonany przez Rosjan z karabinów maszynowych i granatników, zostaliśmy wycofani. Stary w ludziach były bardzo duże (szczególnie wśród Polaków – inne narodowości stanowiły mały procent). Odczuwałem to zdarzenie tak, jakbyśmy byli wystawieni jako żywe tarcze.

Po tych wydarzeniach Niemcy zastosowali inną taktykę – kopanie rowów strzeleckich i stanowisk dla karabinów maszynowych wykonywaliśmy nocą. Po zapadnięciu zmierzchu, w małych grupach – zwykle 9 Polaków i jeden żołnierz – szliśmy na miejsce pracy. Żołnierz z pistoletem maszynowym pilnował nas, wyznaczał robotę i odbierał jej wykonanie. Nad ranem wracaliśmy na tyły frontu, by odpocząć do następnej nocy. Tak trwało to około dwóch tygodni do czasu, kiedy rozchorowałem się na tyfus brzuszny. Powodem był niedostatek wody pitnej. Uzyskiwaliśmy ją ze śniegu lub czerpaliśmy ze zbiorników gruntowych. Chorego przewieziono mnie do szpitala zakaźnego w centrum miasta. Działo się to jak pamiętam pod koniec marca 1945 roku. Szturm na miasto-twierdę (Festung – jak nazywali je Niemcy, widziałem tam bunkry pamiętające czasy Napoleona Bonapartego) rozpoczął się trzydniowym ostrzałem przez ciężką artylerię z ziemi oraz bombardowaniem z powietrza. Potem nastąpił atak piechoty. Miałem dużo szczęścia, że działania te przebiegały już po szczycie mojej choroby. W czasie ostrzału przez artylerię budynek szpitalny został trafiony kilkoma pociskami burzącymi. Ja byłem wtedy tak wycieńczony, że o własnych siłach nie mogłem się ewakuować. Obsługa szpitala przeniosła mnie do piwnicy. Potem wybuchł pożar. Z płonącego budynku sanitariusz niemiecki przeniósł mnie do piwnicy budynku pomocniczego (stary szpital).

Drugiego kwietnia 1945 roku Rosjanie zajęli tę część miasta, w której położony był szpital. Wczesnym rankiem budynek, w którego piwnicy się znajdowałem, zapalił się od sąsiedniego domu. Całe miasto już wtedy płonęło. Mój stan był tak kiepski, że nawet nie wiem kto mnie tym razem wyniósł z płonącego budynku. Mogła to być służba sanitarna niemiecka lub rosyjska, bo na linii frontu działały obie. Słabego i chorego, w samej bieliźnie umieścili mnie obok gruzów sąsiedniego domu. Nie wiem jak długo mógłbym tam leżeć na betonowej płycie chodnika... Pewnie szybko bym się wykończył. Znów jednak miałem szczęście. Obok mnie leżał ranny żołnierz niemiecki nakryty pierzyną. Po dłuższej chwili doszedłem do częściowej świadomości i zdałem sobie sprawę, że w tych warunkach organizm mój się szybko wyziębi i nastanie kres mego życia. Instynkt samozachowawczy nakazywał działanie. Z wielkim wysiłkiem doczołgałem się do rannego i wszedłem pod pierzynę. Ranny Niemiec w pierwszej chwili zaprotestował, ale odpowiedziałem mu, że ja też chce żyć. Ogrzewaliśmy się wspólnym ciepłem ciała i pierzyną, co pozwoliło nam przetrwać. Walki uliczne w naszym sąsiedztwie trwały długo. Po ich zakończeniu, tj. po kilkunastu godzinach, sanitariusze zbierali rannych i chorych. Zabrali nas obu i dostarczyli do punktu zbiorczego w małym parku. Leżałem tam na noszach do następnego dnia (całe popołudnie i całą noc), po czym rosyjska służba sanitarna przetransportowała nas samochodami poza miasto do szpitala polowego, który mieścił się w zabudowaniach folwarcznych. Ranni Niemcy, Rosjanie, Polacy i obywatele innych narodowości oraz chorzy leżeliśmy razem na noszach kilka dni, umieszczeni na stojakach w formie łóżek piętrowych. Następnie Rosjanie dokonali selekcji według narodowości. Mnie umieścili w przystosowanym na szpital budynku mieszkalnym w miejscowości Edkau na pograniczu z Litwą. Przebywali tu ranni i chorzy Polacy, Francuzi i przedstawiciele innych narodowości z wyjątkiem Niemców i Rosjan, których mieli oddzielne szpitale.

W Edkau byłem od połowy kwietnia do połowy lipca 1945 roku. Choroba przebyta w tak ekstremalnych warunkach poważnie nadwreżyła stan mojego zdrowia. Byłem tak słaby, że uczyłem się chodzić, a na plecach do dziś posiadam blizny po odleżynach. Włosy mi wypadły i głowa przypominała główkę noworodka. Przez moją naiwność i niezajomość medycyny, przy analizie moczu (okresowe sprawdzanie szpitalne) zamieniłem z kolegą pojemniki z moczem. Uznałem, że mój – koloru jasnego – jest dobry, zaś jego – ciemny – pochodzi od osoby chorej. Finał eksperymentu był taki, że mnie – chorego – wypisano ze szpitala, natomiast jego – zdrowego – pozostawiono na leczenie. Wyjaśniałem

ordynatorowi, że zaszła pomyłka, ale nic nie pomogło. Tłumaczył mi, że ZSRR ma dosyć własnego narodu do wyżywienia po zniszczeniach wojennych, a obywatele polscy powinni wracać do Polski.

Pociągiem przewieziono nas w konwoju do Olsztyna i przekazano władzom polskim. Podróż przez teren Prus z Olsztyna do Mławy była jednym koszmarem. Cała administracja kolei była zarządzana przez Rosjan. Od jej woli i gestu zależała dalsza jazda. Kilkakrotnie pociąg był zatrzymywany na małych stacyjkach, by przepuścić ważniejsze transporty. Dodatkowo w tych warunkach grasowały na kolei kilkuosobowe bandy żołnierzy rosyjskich i za dalszą jazdę należało im płacić. Bilety podróży wydane przez rosyjski PWR nie miały dla nich żadnego znaczenia. Za mnie – chorego, nie posiadającego żadnego dobra osobistego, płacili z litości współtowarzysze podróży. Podróżowałem ubrany w piżamę szpitalną podobną do pasiaków z obozów koncentracyjnych. Na jednej nodze miałem trzewik, na drugiej pantofel. Posiadałem jeszcze cienki koc, chleb i rosyjską manierkę wojskową, w której przechowywałem marmoladę z buraków. W taką żywność zostałem zaopatrzony na czas podróży przez PWR. Najgorzej znosiłem moją bezradność w tych ekstremalnych warunkach, gdy mój los uzależniony był wyłącznie od czyjejś dobrej woli. W tym miejscu zobowiązany jestem podziękować tym wszystkim, którzy mi pomagali przetrwać.

W pociągu towarowym ledwo żywy dojechałem do Warszawy na Pragę. Ze względu na mój stan zdrowia organizm domagał się odpoczynku, dalsza podróż była niemożliwa. U Karmelitów na Pradze, przysparzeni przez zakonników, odpoczywałem dwa dni. Następnie wybrałem się w dalszą podróż. Nie mając pieniędzy, postanowiłem iść piechotą. Pamiętam, że przez Pragę do Wisły dotarłem po około 3 godzinach. A przez Warszawę – jedno wielkie gruzowisko – szedłem ponad 10 godzin. Pokonywałem trasę wśród gruzów budynków, idąc częściowo już uprzętanymi ulicami i ścieżkami dla pieszych. Dworzec Zachodni mieścił się w baraku-prowizorze. Pociąg relacji Warszawa – Katowice był pociągiem pospiesznym

z miejscówkami, ale jakoś udało mi się do niego wsiąść. Pasażerowie w większości byli handlarzami żywnością i ciuchami. Dokładnie to pamiętam, bo tak mnie nakarmiono, że zrobiło mi się słabo i wyszedłem na korytarz (wagony pociągu były typu pulman). Tam się położyłem. Działo się to wszystko w nocy (w tym czasie pociągi były nieoświetlone), toteż konduktor zobaczywszy leżącego, wziął mnie za pijaka i krzyknął: „co za pijaczyna tutaj leży!”. Ale gdy świecąc latarką (kagankiem) zobaczył moją sinobłądą, bardzo chudą twarz, poprosił zmienionym już tonem, abym mu w pociągu nie umarł. Wczesnym rankiem pociąg dojeżdżając do stacji Ząbkowice, z powodu braku wolnego toru, zatrzymał się przed dworcem. Wykorzystując ten moment wysiadłem z wagonu, gdyż odległość z Ząbkowic do Wareżyna była dużo mniejsza niż z Katowic. Przejście z Ząbkowic do Karsowa zajęło mi bardzo dużo czasu, bo ten 7-kilometrowy odcinek pokonywałem cały dzień do późnej nocy. Na moje nieszczęście w okolicach Karsowa był rów przeciwczołgowy. Zejście po stromej skarpie większej trudności mi nie sprawiło, natomiast wyjście z rowu było ponad moje siły. Wielokrotne próby kończyły się niepowodzeniem. Wyczerpany usiadłem na dnie rowu i zacząłem się zastanawiać nad swoim położeniem. Jestem w szczerym polu, jest noc, tymi ścieżkami nikt nie chodzi, więc nikt mnie nie zobaczy, a upragniony cel mojej podróży (dom rodzinny) jest w zasięgu przysłowiowej ręki, w odległości około 2 km. Nachodziły mnie ponure myśli, że oto po wielkich trudach, ciężkich przeżyciach, jestem w sytuacji bez wyjścia. Jestem już w domu rodzinnym, a nie mam siły otworzyć drzwi...

Jak długo to trwało nie wiem, ale gdy się ocknąłem zobaczyłem wierzbę płaczącą. Jej pochylone gałązki zwisały nad rowem przeciwczołgowym i to one pomogły mi wyjść z ostatniej pułapki. Resztką sił doszedłem do mojego kuzyna w Karsowie. Na drugi dzień mój ojciec, który z pozostałą częścią rodziny wrócił wcześniej z wygnania, przywiózł mnie do naszego domu. Wróciłem w połowie lipca 1945 roku. Dochodzenie do zdrowia trwało długo, ale to w porównaniu poprzednimi przeżyciami nie stanowiło wielkiego problemu.